

STANISŁAW
MICHALKIEWICZ

LOGIKA WYSTARCZY



WYDAWNICTWO
von borowiecky

LOGIKA

WYSTARCZY

STANISŁAW
MICHAŁKIEWICZ

LOGIKA WYSTARCZY

WYDAWNICTWO *von borowiecky*
Warszawa 2016

© Copyright by Stanisław Michalkiewicz

© Copyright for this edition by Wydawnictwo von borowiecky, Warszawa 2008

Projekt i wykonanie okładki: www.netstudio.waw.pl

Opracowanie redakcyjne i korekta: Marta Sieciechowicz

WYDAWNICTWO von borowiecky

05-250 Radzymin

ul. Korczaka 9E

tel./fax (0 22) 631 43 93

tel. 0 501 102 977

www.vb.com.pl

e-mail: ksiegarnia@vb.com.pl

ISBN 978-83-60748-05-3

Skład i łamanie: WYDAWNICTWO *von borowiecky*

Druk i oprawa: BOOKPRESS.EU, ul. Lubelska 37C, 10-408 Olsztyn

Od autora

Radio Maryja ma swoich entuzjastów i zwolenników, ale ma też liczne rzesze przeciwników, a nawet zażartych wrogów. Ci ostatni z reguły Radia nie słuchają, zaś sąd o nim wyrabiają sobie albo na podstawie propagandy prowadzonej przez przodujących w pracy operacyjnej oraz szkoleniu bojowym i politycznym konfidentów zatrudnionych w charakterze dziennikarzy w rozmaitych mediach, albo na podstawie własnych przesądów i uprzedzeń. Wybór tych felietonów powinien więc być przeznaczony przede wszystkim dla nich — żeby przekonali się zarówno o wartości wrogiej wobec Radia propagandy oraz własnych wobec niego uprzedzeń. Obawiam się jednak, że właśnie oni po tę książkę nie sięgną z tych samych powodów, dla których — jak zauważył Franciszek ks. de La Rochefoucauld — „nikt nie jest zadowolony ze swojej fortuny, każdy — ze swego rozumu”. Mało kto bowiem lubi przyznawać się do pomyłki — bo to rzeczywiście trochę wstyd, kiedy poprzednio głosiło się z wielką pewnością siebie, jakoby Radio Maryja było siedliskiem „psycholi” i „oszołomów”.

Być może jednak niektórzy z nich po tę książkę sięgną, bo nie można nikomu z góry odmawiać dobrej woli. Sądzę, że będą mogli wówczas przekonać się, czy ich dotychczasowe opinie o uprawianej przez Radio Maryja publicystyce były trafne, czy nie. Ale również i dla sympatyków, i słuchaczy Radia sięgnięcie po tę książkę może być pożyteczne, chociaż z innych powodów. Z korespondencji, jaką otrzymuję, mogę odnieść wrażenie, jakby część Czytelników i Słuchaczy oczekiwała od publicysty, że w ich imieniu będzie wymyślał przeciwnikom i wrogom, jak wicemarszałek Stefan Niesiołowski

wymyśla przeciwnikom Platformy Obywatelskiej. Ja jednak pojmuję publicystykę i rolę publicysty, a zwłaszcza komentatora, inaczej. Powinien on raczej objaśniać znaczenie wydarzeń i ułatwiać czytelnikom zrozumienie tego, co się dzieje, wskazując na istotne elementy sytuacji i na związki pomiędzy poszczególnymi zjawiskami. Uważam bowiem, że nawet jeśli już niczego nie można zrobić, to przynajmniej dobrze jest rozumieć, co naprawdę się dzieje. Tym bardziej dobrze jest rozumieć to w sytuacji, gdy coś można zrobić. Błędna diagnoza bowiem nie pozwala na zastosowanie właściwego remedium, a w tej sytuacji można zmarnować wiele społecznej energii na walkę z wiatrakami i stopniowo zniechęcić ludzi do wszelkiego działania. Dlatego staram się unikać agitacji, próbując raczej wyjaśniać i przewidywać. Czy mi się to udaje — zweryfikują to Czytelnicy i upływ czasu.

I jeszcze jedno. Tytuł: „Logika wystarczy” wyraża moje pragnienie, by w dyskursie publicznym posługiwać się raczej argumentami niż emocjami, bo wydaje mi się, że to właśnie argumenty mogą przekonać przeciwników, a jeśli nawet nie — to może zdołają skłonić ich do zastanowienia. Dlatego w tytułowym felietonie poświęconym budzącej tyle emocji sprawie aborcji, celowo powstrzymałem się od jakiegokolwiek argumentu odwołującego się do wiary, wychodząc z założenia, że człowiek wierzący zwolennikiem aborcji być nie może. Ale nie chodzi przecież o to, by przekonywać przekonanych, tylko — by trafić do tych, którzy przekonani nie są, między innymi dlatego, że odrzucają wiarę. Okazuje się jednak, że wiara, aczkolwiek pożyteczna, wcale nie jest koniecznie potrzebna do odrzucenia aborcji, że dla człowieka myślącego wystarczy sama logika. Nie tylko zresztą w tej jednej sprawie. W większości innych też. Dlatego mam nadzieję, że książka ta nie tylko pozwoli wrócić pamięcią do publikacji zasłyszanych kiedyś w Radio Maryja, ale i wzbogacić argumentację, której przecież wszyscy potrzebujemy, wymieniając poglądy w środowiskach, w jakich każdy z nas się obraca.

Warszawa, 15 maja 2008 roku

Stanisław Michalkiewicz

Schronienie dla wolnego słowa

Czy media są niezależne, czy przeciwnie — są uzależnione? Sprawa jest niezwykle aktualna nie tylko dlatego, że Jarosław Kaczyński ostatnio powiedział głośno to, co dotychczas mówiono po cichu, ale również dlatego, że gołym okiem widać rażącą stronniczość nie tylko pojedynczych dziennikarzy, ale całych redakcji, rozgłośni i stacji telewizyjnych. Taka zajadła stronniczość musi mieć jakąś przyczynę, a wśród możliwych przyczyn może być również uzależnienie.

W „Listach starego diabła do młodego” (nawiasem mówiąc — znakomita książka!) czytamy, jak to stary diabeł tłumaczy młodemu, że najważniejsze jest przekonanie ludzi, iż diabłów nie ma. Kiedy tylko nabiorą takiego przesvědzenia — powiada stary diabeł — możemy z nimi zrobić wszystko. Czy aby nie z tego samego powodu tak wielu dziennikarzy energicznie zaprzecza, jakoby tajne służby miały swoich agentów zatrudnionych w charakterze dziennikarzy w różnych mediach? Skoro więc tak wielu dziennikarzy tak energicznie dementuje informacje, że środowisko jest naszpikowane konfidentami i agentami wpływu, to trzeba wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

Ale nie tylko agenturalna penetracja jest przyczyną rażącej stronniczości mediów, którą przecież widzimy gołym okiem. Są również przyczyny inne, których charakter najlepiej przedstawić na przykładzie.

We wtorek 28 lutego TV Polonia nadała powtórkę programu Jana Pospieszalskiego „Warto rozmawiać”, poświęconego sytuacji w Czeczenii. Uczestnicy rozmowy przedstawili wstrząsające opinie, z których wynikało jasno, że wojska rosyjskie dopuszczają się tam zbrodni na taką skalę, że można określić je mianem ludobójstwa. Tymczasem europejskie i światowe media,

które trąbią na cały świat np. o zabójstwie młodego Żyda we Francji, w sprawie ludobójstwa w Czeczenii ani pisną, jakby skądś wiedziały, że o tym nie trzeba głośno mówić. Skąd się to bierze — zastanawiali się ostentacyjnie uczestnicy programu „Warto rozmawiać” — i nie potrafili znaleźć na to odpowiedzi. Nie potrafili, czy może — nie chcieli?

Obawiam się, że nie chcieli na tej samej zasadzie, według której nie powinno się rozpoczynać rozmowy o sznurze w domu wisielca. Bo przecież nie jest żadną tajemnicą, że izraelski premier Ariel Szaron trzykrotnie składał wizytę w Moskwie, a i prezydent Putin też bywał w Izraelu. Skoro tak, to dlaczego europejska i światowa prasa ma pisać akurat o Czeczenii? To już nie ma żadnych innych tematów, tylko koniecznie — Czeczenia? To już dziennikarze nie mają większych zmartwień?

Jasne, że mają. Największym zmartwieniem większości dziennikarzy jest — po pierwsze — dostać posadę, a jak ją już dostaną — to utrzymać się na niej możliwie jak najdłużej. W tym celu trzeba jednak bardzo uważać, co wolno, a czego nie wolno. Jeśli np. premier Ariel Szaron nie życzy sobie, żeby europejskie media wszczywały klangor w sprawie Czeczenii, bo taką przysługę obiecał prezydentowi Putinowi, no to dziennikarze mają jasność. Nie tylko zresztą dziennikarze, ale również uczestnicy wspomnianego programu, którzy żadnymi dziennikarzami nie są. Oni też się boją, żeby nie padło na nich posądzenie o „antysemityzm”, więc starannie nie zauważają słonia w menażerii. I co z tego, że cenzury nie ma, skoro wytworzyła się taka świadoma dyscyplina, jeszcze większa niż za pierwszej komuny? Owszem, można tak rozmawiać, ale czy aby na pewno warto?

Właściwie nie chciałem o tym mówić, ale skoro w państwowej telewizji nie można powiedzieć całej prawdy ani nie wolno poruszać pewnych aspektów sprawy, to trzeba to uzupełnić na antenie Radia Maryja, które staje się w ten sposób schronieniem dla wolnego słowa. Czy to przypadkiem nie dlatego właśnie jest ono tak energicznie atakowane?

Wspomniałem o zabójstwie młodego Żyda we Francji. Nazywał się on Ilan Halimi i został porwany w styczniu. 13 lutego znaleziono go porzuconego i w stanie agonijnym, tak że umarł w drodze do szpitala. Okazało się,

że porwała go banda murzyńskich kryminalistów, nazywająca się „gangiem barbarzyńców”. Przyczyną porwania Ilana Hakimiego była nadzieja na okup. Bandyci uważali bowiem, że „Żydzi mają pieniądze i są solidarni”. W przypadku Ilana Halimiego te nadzieje zostały zawiedzione; żadnego okupu gang nie dostał i skończyło się to śmiercią nieszczęsnego chłopaka.

Początkowo sąd potraktował sprawę w kategoriach czysto kryminalnych. Widocznie jednak komuś było potrzebne zrobienie z tego afery politycznej i niezawisły francuski sąd natychmiast się do tego życzenia dostosował. Warto bowiem przypomnieć, że jeśli przestępstwo zostało popełnione z pobudek rasowych, to prawo francuskie zaostrza wtedy karę. Jeśli więc w knajpie pochlastają się dwaj nożownicy francuscy, to traktuje się ich jak zwykłych kryminalistów. Jeśli jednak okazałoby się, że jeden z nich był, dajmy na to, Żydem — ooo, to już gorsza sprawa. W przypadku wspomnianego „gangu barbarzyńców” sąd dopatrzył się pobudek rasistowskich właśnie w przekonaniu porywaczy, że „Żydzi mają pieniądze i są solidarni”. Czy wobec tego lepiej jest myśleć, że Żydzi nie mają pieniędzy i nie są solidarni? Ale to chyba jeszcze gorzej! Wygląda na to, że najlepiej nic nie myśleć.

Ale żarty na bok. Przykład ten pokazuje, jak niebezpieczne w skutkach jest odchodzenie od zasady równości obywateli wobec prawa. Warto pamiętać, że ta nowoczesna zasada ma chrześcijańskie źródło w postaci przekonania, że każdy człowiek, niezależnie od rasy, narodowości i pozycji społecznej, jako dziecko Boże, dysponuje taką samą godnością. Jeśli zatem odchodzimy od zasady równości obywateli wobec prawa, to uwsteczniamy się do przedchrześcijańskiej moralności plemiennej, według której tylko swojacy są ludźmi pierwszej kategorii, a wszyscy inni — drugiej.

Ale nie to jest najgroźniejsze. Jeśli odchodzimy od zasady równości obywateli wobec prawa i zaczynamy dzielić ich na grupy, to mamy dwie możliwości: albo po to, żeby taką grupę obdarzyć przywilejami, albo po to, żeby taką grupę prześladować. Dla przykładu; grupą obywateli polskich obdarzonych przywilejami politycznymi jest tzw. mniejszość niemiecka. Przywilejów domagają się również inne grupy. Ale wyposażenie jakiejś grupy w przywilej z reguły budzi irytację i gniew pozostałych obywateli, a wtedy

tylko patrzeć, kiedy taka grupa stanie się obiektem prześladowań. Wystarczy, by zmieniła się sytuacja polityczna.

Dlatego warto trzymać się słusznej zasady równości obywateli wobec prawa nawet, jeśli akurat sprzeciwia się ona nakazom politycznej poprawności. Wymaga to oczywiście pewnego minimum odwagi, która w środowisku mediów spotykana jest coraz rzadziej, głównie z powodu uzależnienia, a to od oficerów prowadzących, a to od właścicieli, którzy czasami są też zarazem oficerami, a to uzależnienia od posady, czy wreszcie — od najbardziej popularnych, a więc — najbezpieczniejszych poglądów.

1 marca 2006 roku

Na fundamencie zgniłego kompromisu

Doprawdy aż się dziwię, że niezależne media polskojęzyczne jeszcze nie wpadły na ten trop, a przecież każdy chyba widzi, że wiosna się opóźnia? Mamy 8 marca, a tu śnieg na polach ani myśli tajać, mróz trzyma jak w styczniu i żadnych oznak odmiany! Oczywiście wszystkiemu winien Kaczyński — jak nie Jarosław, to na pewno prezydent Lech. Przecież za Kwaśniewskiego byłoby już ciepło, niczym na Rivierze, a gdyby jeszcze rządziła Platforma Obywatelska, to nawet wrony śpiewałyby jak słowiki. Co się dzieje? Czyżby znowu panu redaktorowi Michnikowi zablokował się telefon i gwiazdy dziennikarstwa śledczego znowu nie wiedzą, co wolno myśleć, a czego nie wolno? Póki co redaktorzy „Rzeczpospolitej” spierają się z redaktorami „Gazety Wyborczej” o różnicę łajdactwa, a inni starają się rozpaczliwie zwrócić na siebie uwagę w inny sposób. Pani redaktor Ewa Wanat najwyraźniej wyczerpawszy inne sposoby, przypomniała sobie, jak to 30 lat temu molestował ją seksualnie własny dziadek. Dziadek oczywiście już nie żyje, więc protestował nie będzie, a pani redaktor — kto wie? Może jednym susem znaleźć się na Olimpie, gdzie światłem odbitym od oficerów prowadzących świecą gwiazdy naszego Propaganda-Abteilung.

Jakby mało było kłopotów zimą, to jeszcze Polskę nawiedziła fala epidemii choroby głupich ludzi. Jak wiadomo, polega ona na wzniecaniu paniki objawiającej się również nadzwyczajnym pobudzeniem, zwanym przez ojca Bocheńskiego aktywizmem. Ponieważ znaleziono łabędzia zdechłego na ptasią grype, władze blokują drogi ograniczając ludziom swobodę poruszania się. Jak wiadomo, ptaki, a zwłaszcza łabędzie, poruszają się właśnie po drogach.

Inna rzecz, że gdyby władze nie uległy epidemii aktywizmu, to dziennikarze śledczy zrobiliby z nich marmoladę. Już i tak rząd jest atakowany, że przez całe 84 godziny ukrywał przed udręczonym narodem straszliwe zagrożenie epidemią. Za czasów pierwszej komuny pewien obywatel podobnie oskarżał własnych rodziców: „Urodziłem się w rodzinie do tego stopnia reakcyjnej, że do piątego roku życia rodzice ukrywali przede mną fakt istnienia Związku Radzieckiego”. Jeśli choroba głupich ludzi poczyni postępy, to ani chybi doczekamy się takich publikacji, bo wszystko wskazuje na to, iż ogniskiem epidemii są właśnie polskojęzyczne media.

Tymczasem w polityce szykuje się kolejne przesilenie. Wprawdzie Jarosław Kaczyński jeszcze umówił się na spotkanie ostatniej szansy z sygnatariuszami Paktu Stabilizacyjnego, ale marszałek Jurek już nie ma żadnych złudzeń. Otwarcie przyznał, że zrobił głupstwo namawiając prezydenta Kaczyńskiego, by nie rozwiązywał Sejmu. Trudno się z nim nie zgodzić, tym bardziej że pierwsza myśl przeważnie jest najlepsza. To tylko Janusz Wilhelmi radził Januszowi Głowackiemu, żeby wystrzegał się pierwszych reakcji, „bo mogą być uczciwe”. Tymczasem również w polityce wszelkie kompromisy są nie tylko złe, ale i głupie — o czym świadczy choćby rosnące niezadowolenie ze stanu, w jakim znalazło się państwo. W takiej sytuacji nowe wybory są rzeczywiście jakimś wyjściem, bo jest szansa, że w ich następstwie kolejna część polityków znajdzie się poza parlamentem.

Skoro jednak mają być wybory, to siłą rzeczy nasuwa się pytanie o ordynację. Obawiam się, że nie uda się jej zmienić nie tylko z powodu trudności ze zmobilizowaniem odpowiedniej większości parlamentarnej, ale przede wszystkim — z powodu niechęci, jaką członkowie ścisłych sztabów partyjnych żywią wobec możliwości utraty choćby części obecnej władzy. Tę niechęć widać również w propozycji pana marszałka Jurka, by w nowej ordynacji część posłów była wybierana według ordynacji większościowej, w jednomandatowych okręgach wyborczych, ale reszta — według zasad dotychczasowych. Jest to typowy zgniły kompromis między koniecznością przewietrzenia zatęchłej atmosfery oligarchicznej a potrzebą zachowania wpływow przez partyjne oligarchie. Nic dobrego oczywiście z tego nie wyj-

dzie; zresztą sama propozycja ma charakter wyłącznie teoretyczny, bo nie sądzę, żeby w obecnym Sejmie udało się znaleźć jakąś sensowną większość.

Najlepszą ilustracją tej niemożności jest zablokowanie wyboru Rzecznika Praw Dziecka. Jest to urząd operetkowy i naszemu państwu potrzebny niczym psu piąta noga, ale właśnie dlatego, że to jest synekura bez jakiegokolwiek odpowiedzialności, partie walczą o nią z zajądłością wykluczającą jakiekolwiek porozumienie.

Nieomylny to znak, że skład obecnego Sejmu jest jakimś groteskowym nieporozumieniem i najlepszą przysługą, jaką Sejm zrobiłby dzisiaj Polsce, jest decyzja o samorozwiązaniu. Abdykujcie jak najprędzej, bo szkoda czasu. Jeśli znajdzie się dostateczna większość obywateli, której zależy na rozpędzeniu okrągłostołowej grupy trzymającej władzę, to tym razem nie powinna rozpraszać swoich preferencji. Tylko w ten sposób bowiem można będzie doprowadzić do gruntownej zmiany konstytucji, która z kolei jest niezbędnym warunkiem zmiany modelu państwa. Bo tak naprawdę — o to przede wszystkim chodzi.

8 marca 2006 r.

Razwiedka kontratakuje

Jeszcze z czasów pierwszej komuny pamiętamy porzekadło, że jak partia mówi, że da — to mówi. Toteż kiedy Prawo i Sprawiedliwość, a zwłaszcza Jarosław Kaczyński w kampanii wyborczej zapowiedział budowę IV Rzeczypospolitej, nie wiadomo było, czy tylko tak mówi, żeby było ładniej, czy zamierza to zrobić naprawdę. Niepewność ta pogłębianą była zapewnieniami, że Prawo i Sprawiedliwość zamierza dokonać tego dzieła z Platformą Obywatelską. Tymczasem wokół Platformy Obywatelskiej zaczął stopniowo skupiać się tak zwany Salon, czyli wszystkie pieśczochy okrągłego stołu, łącznie z najgorszą komunistyczną szumowiną. Nic dziwnego, że w tej sytuacji zapowiedź budowy IV Rzeczypospolitej nie wyglądała nazbyt wiarygodnie.

Rozwój wypadków był jednak nieco inny. Zamiast zapowiadanej koalicji, między PiS i Platformą zaostrzał się konflikt. Inna sprawa, że nie wykraczał poza nieszkodliwe przekomarzanie, tzn. — insynuowanie bezecnych intencji albo wypominanie różnych wstydliwych zakątków z bliższej i dalszej przeszłości. Odwołując się do militarnej analogii można powiedzieć, że były to takie sobie efektowne pojedynki harcowników.

Dlatego też pieśczochy okrągłego stołu, które z patologii, w jakie obfituje III Rzeczpospolita, ciągną grubą forszę, w dalszym ciągu nie wiedziały, jak jest, to znaczy — czy jest bezpiecznie, czy nie. Kiedy jednak w ubiegłym tygodniu prezydent Kaczyński zapowiedział skierowanie 13 marca do Sejmu projektu ustawy o likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, niepokój gwałtownie wzrósł. Wojskowa *razwiedka* bowiem uchodzi słusznie za twarde jądro naszej młodej demokracji. Utwierdziły nas w tych podejrzeniach również

okoliczności ujawnione przez sejmowe komisje śledcze. Jak pamiętamy, nici wszystkich, albo prawie wszystkich, afer zbiegały się w wojskowej *razwiedce*. Objawiała się ona, jako prawdziwe państwo w państwie, jako okupacyjna formacja, która poprzez rozbudowaną agenturę zawładnęła gospodarką i oficjalnymi instytucjami państwa, obracając je w narzędzie eksploatawania bezbronnych obywateli.

W przystępie szczerości potwierdził to pan Zbigniew Siemiątkowski, były minister-koordynator tajnych służb. Kiedy dziennikarze zapytali go, co sądzi o zapowiedzi premiera Marcinkiewicza, że będzie eliminował agentów tajnych służb z zarządów i rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa, pan Siemiątkowski był autentycznie zdumiony. — To jak w takim razie premier Marcinkiewicz zamierza prowadzić politykę gospodarczą? — zapytał. Najwyraźniej on sam nie wyobrażał sobie innego sposobu rządzenia, jak przy pomocy agentów poprzebieranych już to za prezesów, już to za artystów, już to za publicystów, już to za sędziów, za naukowców, duchownych — i tak dalej. Po prostu szczerze powiedział, co wiedział, a z racji sprawowanej funkcji coś tam musiał wiedzieć.

I oto teraz to centrum decyzyjne miałoby zostać zlikwidowane! Toż to prawdziwa rewolucja, prawdziwa zmiana ustroju, prawdziwy koniec okrągłego stołu! No dobrze — ale czy naprawdę? Może prezydent Kaczyński tak tylko straszy, jak straszył rozwiązaniem Sejmu? Trzeba to było jakoś sprawdzić.

I nadarzyła się okazja. Prezes Narodowego Banku Polskiego Leszek Balcerowicz, z urzędu przewodniczący Komisji Nadzoru Bankowego, samowolnie usunął z obrad wiceministra finansów Cezarego Mecha. Pewnej pikanterii sprawie dodaje okoliczność, że uczynił to na wniosek pana Lejba Fogelmana, doradcy pana Aleksandra Profumo, prezesa banku Unicredito. Zademonstrował w ten sposób, że jest niezależny od rządu. Rzeczywiście — od rządu jest niezależny. A od pana Lejba Fogelmana?

Ale mniejsza o to. Usunięcie wiceministra Cezarego Mecha, chociaż formalnie wymierzone w rząd, tak naprawdę było prowokacją mającą na celu sprawdzenie determinacji Jarosława Kaczyńskiego w budowie IV Rzeczypo-

spolitej. W końcu prezes Balcerowicz jest jednym z najważniejszych elementów układu okrągłego stołu i jeśli sprowokowany w ten sposób Kaczyński wycofałby się z podwiniętym ogonem, to wszystkie pieszczochy mogłyby odetchnąć z ulgą. Znowu jest bezpiecznie, a te wszystkie pokrzykiwania to tylko takie przedstawienie dla ludu. Żeby jednak postawić kropkę nad „i”, to znaczy przetestować nie tylko determinację Jarosława Kaczyńskiego, ale również całego politycznego zaplecza rządu, pan prezes Balcerowicz poszedł do Sejmu, żeby wszystkich posłów przytłoczyć swoim autorytetem. Zirykował ich tym do tego stopnia, że z tej złości postanowili wytargać go w smole i pierzu. Ten zamiar przybrał postać wniosku o utworzenie komisji śledczej dla prześwietlenia bankowości.

I o to właśnie zaniepokojonej *razwiedce* chodziło. Nastąpiła pełna mobilizacja, a w takich razach — wiadomo, za broń chwytają nawet kucharze, ordynansi i kanceliści. Toteż niezależne media wszczęły natychmiast okropny klangor w obronie znieważonego majestatu prezesa Balcerowicza, a nadgorliwi agenci przeszli samych siebie, urządzając jakieś przebłągalne i wynagradzające egzekwie. Ale mobilizacja agentury w mediach, aczkolwiek bardzo efektowna, to jeszcze za mało. Prezes Balcerowicz polecał na skargę do samego pana Tricheta, prezesa Europejskiego Banku Centralnego, i wkrótce z brukselskich instytucji zaczęły dobiegać groźne pomruki o sankcjach przeciwko Polsce. Z donosem wystąpili też eurodeputowani z dawnej Unii Wolności: prof. Bronisław Geremek, pan Janusz Onyszkiewicz, pani Staniszevska, a także pan Dariusz Rosati. Czy sami wpadli na ten pomysł, czy też delikatnie zasugerował im to pan Lejb Fogelman — tego oczywiście nie wiemy, chociaż wykluczyć tego nie można, zważywszy jak bardzo zaangażowała się w tę sprawę „Gazeta Wyborcza”, która do interesów ma specjalnego nosa.

Więc propagandowy departament *razwiedki* przeprowadził mobilizację swojej agentury, a departament organizacyjny — swojej. W Czosnowie pod Warszawą, w zajeździe pana Witaszka, zebrali się tak zwani „byli ludzie” i założyli „prawdziwą” Samoobronę. W tej sytuacji tylko patrzeć, jak *razwiedka* założy „prawdziwe” Prawo i Sprawiedliwość, tak jak w swoim czasie postawiła na odnowienie Unii Wolności pod postacią Platformy Obywatelskiej.

Zwróćmy uwagę, że ten wrzask podniósł się pod niebiosą, zanim jeszcze rozpoczęło się wyrywanie korzeni grupy trzymającej władzę. Te korzenie sięgają bardzo głęboko, jeszcze czasów stalinowskich (*vide* pan profesor Geremek) i gęsto przerastają tkankę społeczną. Wyrywanie tych korzeni siłą rzeczy musi być bardzo bolesne, zwłaszcza że będzie odbywało się bez znieczulenia. Skoro więc już dzisiaj wrzask bije pod niebiosą, chociaż jeszcze nic się nie zaczęło, to cóż dopiero, gdy się zacznie? Musimy być na to przygotowani, bo ten wrzask ma na celu zmiękczenie naszych serc i wzbudzenie w nich uczucia litości dla naszych panów gangsterów i innych pieszczochów okrągłego stołu. Jeśli damy się na to nabrać — to już po nas. Fryderyk Wielki, król pruski, pogardliwie mawiał, że Polacy zamiast serc mają wiechcie słomy. Pora pokazać, że jest inaczej.

15 marca 2006 r.

Agenci, gangsterzy i idioci

Jeśli ktokolwiek myślał, że zbudowanie czwartej Rzeczypospolitej będzie łatwe, to dzisiaj musi pozbyć się wszelkich złudzeń. Zbudowanie czwartej Rzeczypospolitej jest zadaniem tak trudnym, że nie wiadomo, czy w ogóle możliwym.

Trzecia Rzeczpospolita narodziła się przy okrągłym stole. Wyreżyserował ją wywiad wojskowy przy pomocy swoich agentów zarówno po stronie partyjno-rządowej, jak i opozycyjnej, oraz przy pomocy tak zwanych pożytecznych idiotów, którzy mogli nie być dopuszczeni do konfidencji i szczerze myśleli, że to wszystko naprawdę. Celem trzeciej Rzeczypospolitej było zagwarantowanie partyjnej nomenklaturze i ludziom związanym z komunistycznymi tajnymi służbami utrzymania dotychczasowej pozycji społecznej i politycznej w zmienionych warunkach ustrojowych. Kiedyś, za komuny, tę wysoką pozycję społeczną zapewniała wierność wobec Związku Sowieckiego i dyspozycyjność wobec partii i UB. Po zmianie ustroju podstawą pozycji społecznej stał się majątek. Dlatego też ojcowie założyciele trzeciej Rzeczypospolitej najpierw okradli własne państwo przy pomocy spółek nomenklaturowych, to znaczy okradli współobywateli, a potem, po krótkim okresie gospodarczej wolności, przywrócili biurokratyczną kontrolę nad gospodarką, aby nikt, kto nie należy do sitwy, nie mógł się wzbogacić, i w ten sposób zagrozić społecznej, i politycznej, pozycji czerwonej i różowej arystokracji.

Czwarta Rzeczpospolita oznacza kolejną formę polskiej państwowości. Polska od ponad tysiąca lat jest jedna i ta sama, ale formy naszej państwowości się zmieniają. Polska najpierw była księstwem, później — królestwem,

potem — republiką aż do rozbiorów. Wprawdzie Konstytucja 3 Maja likwidowała w Polsce ustrój republikański, przywracała monarchię i ograniczała demokrację, ale te reformy nie zostały już wprowadzone w życie. Odrodzona w 1918 roku Polska znowu była republiką. Po II wojnie światowej na obszarze Polski została zainstalowana Polska Rzeczpospolita Ludowa, będąca okupacyjną formą państwowości polskiej. Dlaczego okupacyjną? Nie chodzi tu o epitet, tylko o pokazanie, że ostateczną instancją decydującą o sprawach Polski i losie narodu polskiego było kierownictwo polityczne Związku Sowieckiego. Oznacza to, że Związek Sowiecki przywłaszczył sobie suwerenność narodu polskiego, a partia i UB miały pilnować, żeby naród polski tej suwerenności od Sowietów nie odebrał. A kiedy Związek Sowiecki przestał istnieć, ojcowie założyciele trzeciej Rzeczypospolitej postanowili tej suwerenności narodowi nie oddawać, tylko podstępnie zatrzymać dla siebie. Żeby jednak naród się nie zorientował, zostały stworzone pozory demokracji. Niby są wybory, ale ojcowie założyciele trzeciej Rzeczypospolitej starannie przygotowali narodowi alternatywę. Czy naród wybierze tego, czy tamtego, czy wygra ta partia, czy inna — zawsze górą będzie Grupa Trzymająca Władzę. Ta prawda częściowo została odsłonięta przed nami dzięki sejmowym komisjom śledczym. Jeśli zatem chcemy dziś budować czwartą Rzeczpospolitą, to co to właściwie oznacza? To oznacza odzyskanie przez naród suwerenności politycznej. Tym razem nie od Sowietów, tylko od Grupy Trzymającej Władzę, która składa się z czerwonej i różowej arystokracji, bezpieczniaków, gangsterów i konfidentów, występujących w otoczeniu pożytecznych idiotów, których u nas nie brakuje.

Obecnie polityczną ekspozyturą Grupy Trzymającej Władzę stała się Platforma Obywatelska. Dowodem na to jest skupienie się podczas ubiegłorocznych wyborów prezydenckich wszystkich pieśczochołów okrągłego stołu wokół kandydatury Donalda Tuska. Najwyraźniej w tej rozgrywce Grupa postawiła na niego i oddała mu do dyspozycji zarówno środki finansowe, jak i całą agencję w mediach, i innych środowiskach opiniotwórczych. Jest rzeczą oczywistą, że kierownictwo Platformy Obywatelskiej zdaje sobie sprawę z tej sytuacji i ją akceptuje. I to właśnie tłumaczy przyczynę, dla której Platforma Obywa-

telska sprzeciwia się budowaniu czwartej Rzeczypospolitej. Została wynajęta do wykonania innego zadania. Jej zadaniem jest storpedowanie możliwości odzyskania przez naród polski suwerenności politycznej i utrwalenie dominacji Grupy Trzymającej Władzę, której korzenie sięgają czasów stalinowskich.

Wspominam o tym, bo mamy tu do czynienia również z nieoczekiwaną zmianą miejsc. Znakomitym przykładem jest przypadek pana senatora Stefana Niesiołowskiego. Pan Niesiołowski, kiedyś konspirator i więzień polityczny, potem — jeden z twórców Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, a jeszcze później — uczestnik Akcji Wyborczej Solidarność odsądzający wszelki liberalizm od czci i wiary, obecnie zaś aktywista Platformy Obywatelskiej gardłujący po wszystkich mediach z gorliwością neofity. W co pan senator Niesiołowski wierzy naprawdę, Bóg jeden wie, bo przecież był już i zawodowym katolikiem, pobożnym aż do przesady, był podporą związków zawodowych, a obecnie został takim mimowolnym rzecznikiem ubeków, bo przecież Platforma Obywatelska jest polityczną ekspozyturą również i tego środowiska.

Ktoś mógłby na tej podstawie dojść do wniosku, że pan senator Niesiołowski jest pozbawionym sumienia cynikiem. To oczywiście jest możliwe, ale jeszcze bardziej prawdopodobne jest, że pan senator Niesiołowski raczej należy to tak zwanych pożytecznych idiotów, których Platformie Obywatelskiej oddała warendę „Gazeta Wyborcza”. Warto bowiem pamiętać, że zanim pan senator Niesiołowski zasilił szeregi liberałów, pan redaktor Michnik przez kilka lat pracowicie nadymał go na autorytet moralny. Być może pod wpływem tego nadymania pan Stefan Niesiołowski szczerze uwierzył w wyjątkowe zalety swego umysłu i charakteru, bo nigdy nie miał zbyt wiele samokrytycyzmu.

Skoro zatem bezpieczeniacy i gangsterzy potrafią w ten sposób wykorzystać nawet tak zasłużone dla opozycji osoby, jak pan senator Niesiołowski, to mamy dowód, że budowa czwartej Rzeczypospolitej, a więc odzyskanie przez naród polski suwerenności politycznej, może okazać się tak trudne, że nie wiadomo, czy możliwe.

21 marca 2006 r.

Tekst, który wstrząsnął elitką

Właśnie zakończyły się wybory i na Białorusi, i na Ukrainie, więc jest okazja do podsumowania efektów naszej polityki wschodniej. Wybory na Ukrainie miały charakter demokratyczny, co potwierdziła nawet Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. I całe szczęście, bo demokratyczny charakter wyborów na Ukrainie to dla nas jedyna pociecha. Tego samego dnia bowiem, gdy odbywały się tam demokratyczne wybory, Ukraina wprowadziła embargo na import polskiego mięsa i wędlin. Więc gdyby nie ten uznany demokratyczny charakter wyborów, to nie mielibyśmy nawet czym się pocieszyć, no a tak — to bardzo się cieszymy. Niestety, na Białorusi wybory już demokratyczne nie były, także nawet i takiej pociechy z naszej polityki wschodniej nie mamy.

Tymczasem, gdy my tu jesteśmy zajęci wprowadzaniem demokracji na Ukrainie i Białorusi, od tyłu zachodzą nas Judejczycy próbujący wymusić na naszym rządzie zapłatę haraczu, zwanego dla niepoznaki rewindykacjami. Ale — od początku.

Te rewindykacyjne żądania pojawiły się już w połowie lat 90., kiedy Polska ogłosiła, że chce przystąpić do NATO. Środowiska żydowskie, głównie w Ameryce, zażądały wtedy od rządu polskiego łapówki z tego tytułu. I rząd tę łapówkę zapłacił. Przybrała ona postać ustawy o stosunku państwa do gmin wyznaniowych żydowskich, przewidującej przekazanie majątku po dawnych gminach żydowskich w Polsce kilku gminom istniejącym oraz — Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego w Nowym Jorku. Mówię o łapówce, bo z punktu widzenia prawnego żaden „zwrot” mienia ani gminom, ani tym bardziej nowojorskiej Organizacji się nie należał. Ale stało się i mówi się: trudno.

Zachęcony tymi łatwymi pieniędzmi Światowy Kongres Żydów, główna firma koncernu holokaustowej przemysłowości, ustami swego ówczesnego sekretarza, pana Izraela Singera, zażądała od Polski kolejnego haraczku. Tym razem chodziło o mienie pozostawione przez Żydów zabitych w czasie wojny przez Niemców. Pan Singer wprawdzie ani ich brat, ani swat, ale z dużym tupetem zagroził Polsce, że jeśli nie zastosuje się do żądań Kongresu i nie przekazuje co najmniej 60 miliardów dolarów, to „będzie upokarzana na arenie międzynarodowej”. Efektem tego „upokarzania” były awantury urządzone przez Żydów na terenie oświęcimskiego obozu, rozdmuchanie incydentu w Jedwabnem, a obecnie — przygotowania do wielkiej propagandowej imprezy w Kielcach, w rocznicę tak zwanego „pogromu”. To „upokarzanie” Polski postępuje równoległe do zdejmowania z Niemców winy za wymordowanie Żydów. Kontrolowana przez przedsiębiorstwa holokaustu amerykańska prasa pilnuje się, żeby nigdy nie pisać o „Niemcach”, tylko zawsze — o „nazistach”, którzy nawet posługiwali się „nazistowskim” językiem, za to na Polsce używa sobie na całego, pisząc m.in. o „polskich obozach zagłady”. No, ale Niemcy zapłacili Izraelowi co najmniej 100 miliardów marek i nadal płacą, m.in. dostarczając okręty podwodne, więc jakiegoś winowajcę trzeba znaleźć, bo w przeciwnym razie świat mógłby sobie pomyśleć, że ci Żydzi poumierali śmiercią naturalną.

Żeby łatwiej rozmiękczyć Polaków i w ten sposób wyciągnąć od Polski co najmniej 60 miliardów dolarów, trzeba z jednej strony oczerniać nas przed światem jako naród morderców, a z drugiej — doprowadzać nas do stanu bezbronności wobec żydowskich żądań poprzez systematyczną tresurę w tak zwanej tolerancji i w tak zwanym dialogu. Owa tolerancja to nic innego jak przyjęcie żydowskiego punktu widzenia, zaś dialog — to nic innego jak potulne spełnianie wszystkich zachcianek przedsiębiorstwa holokaustu.

W tej tresurze ogromną rolę pełni „Gazeta Wyborcza”, będąca zresztą osobliwym przykładem żydowskiej piątej kolumny na terenie Polski. Oto w grudniu ub. roku odwiedzili Polskę przedstawiciele władz izraelskich, żądając od rządu polskiego spacyfikowania Radia Maryja, które, nazywając rzeczy po imieniu, psuje przedsiębiorstwu holokaustu interes. Jednocześnie „Gazeta Wyborcza” przypuściła niezwykle intensywny atak na Radio Maryja,

pozyskując w charakterze tak zwanych „pożytecznych idiotów” również niektórych przedstawicieli duchowieństwa. W samym tylko grudniu naliczyłem w „Gazecie Wyborczej” aż 26 publikacji poświęconych Radiu Maryja, a wszystkie utrzymane mniej więcej w takim samym tonie, jakiego arcykapłan Kajfasz używał wobec Pana Jezusa. Ta gazetowa ofensywa miała na celu stworzenie atmosfery sprzyjającej ustępliwości rządu wobec żądań przedstawicieli izraelskich władz. Nawiasem mówiąc, wysunięte przez przedstawicieli izraelskich władz żądanie spacyfikowania Radia Maryja stanowiło bezprzykładną ingerencję w polskie sprawy wewnętrzne i zamach na wolność słowa, i wolność mediów. Warto zatem pokazać, jak „Gazeta Wyborcza” realizuje zlecone zadania w dziedzinie kneblowania wolnych mediów w Polsce.

Po co była potrzebna ta akcja przeciwko Radiu Maryja w grudniu ub. roku? Ano po to, że 16 marca roku bieżącego zjawił się w Polsce pan Dawid Harris i po raz kolejny zażądał od rządu pieniędzy. Pan Harris stoi na czele Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego. Jest to jeden z mniejszych zakładów przedsiębiorstwa holokaust, ale jest to jego jedyna zaleta. W odróżnieniu od Światowego Kongresu Żydów, który idzie na całość i żąda od Polski co najmniej 60 miliardów dolarów, Komitet pana Harrisa chce tylko 2,5 miliarda. Jest mniejszy i tańszy, ale to jedyna jego zaleta, bo tak naprawdę to nic nie może. Pan prezydent Kaczyński podczas swojej wizyty w Ameryce prosił go, żeby wstawił się za nami w amerykańskich mediach, by przestały pleść o „polskich obozach zagłady”, ale pan Harris, mimo obietnic, nie ma na to żadnego wpływu, bo oto największe nowojorskie gazety używają tego określenia w najlepszej, bez oglądania się na pana Harrisa.

Więc 16 marca pan Harris pojawił się w Polsce po raz kolejny, stanowczo żądając pieniędzy. Niestety, tym razem uzyskał obietnicę, że rząd postara się załatwić tę sprawę „jeszcze w tym roku”. Dlaczego „niestety”? Dlatego, że z punktu widzenia prawnego żadne pieniądze ani panu Harrisowi, ani jego Komitetowi, ani Światowemu Kongresowi Żydów się nie należą. Zgodnie z prawem polskim, a konkretnie — z przepisami dekretu z 8 października 1946 roku — prawo spadkowe — jeśli do 1 stycznia 1949 roku nie zostało przed polskim sądem wydane postanowienie o stwierdzeniu nabycia spadku

— to taki spadek, jako tzw. utracony, przypada Skarbowi Państwa. Oznacza to, że menedżerowie przedsiębiorstwa holokaust zwyczajnie chcą od państwa polskiego te miliardy dolarów wyłudzić.

Dlaczego w takim razie rząd złożył im jakieś obietnice? Trzeba wyraźnie powiedzieć: wszelkie próby smarowania tego tłustego połcia pieniędzmi wyłudzonymi od Polski borykającej się z ekonomicznymi problemami są nie do pogodzenia z obroną narodowego interesu. Trzeba w związku z tym przypomnieć, że zarówno pan prezydent Kaczyński, jak i pan premier Marcinkiewicz obiecywali zwrócić szczególną uwagę na obronę interesu państwowego w stosunkach międzynarodowych. Niechże go więc bronią, zaś my życzymy, żeby nigdy nie zabrakło im odwagi, zwłaszcza gdyby jeszcze raz przyjechał pan Harris, nawet w towarzystwie naszego wroga, pana Izraela Singera.

29 marca 2006 r.

Totalniacy się ujawniają

Jeszcze nie przebrzmiały echa słów mego ostatniego felietonu poświęconego przedstawieniu żydowskich roszczeń majątkowych wobec Polski, a już odezwały się nożyce i to z różnych stron naraz. Nie na próżno Stefan Kisielewski przypominał, że „nic tak nie gorszy, jak prawda”, toteż w brzęku nożyc dominuje oczywiście nuta zgorszenia. Ton podała tzw. Rada Etyki Mediów, dziwne, trochę samozwańcze gremium. Podobno wydała specjalne oświadczenie, którego niestety do dzisiaj nie otrzymałem, chociaż zwracałem się o nie do pana redaktora Macieja Łowieckiego, który jest członkiem tej Rady. Okazało się jednak, że i pan redaktor Łowiecki nie ma tego oświadczenia, toteż z konieczności muszę posługiwać się pojedynczymi zdaniem, pochodzącymi z prasowych omówień.

Rada piętnuje mnie za „antysemityzm”, uzasadniając swoje oskarżenie tym, iż użyłem w felietonie określenia „przemysł holokaustu”. Rzeczywiście użyłem takiego sformułowania, zapożyczając je z książki profesora Normana Finkelsteina o takim właśnie tytule: „Przemysł holokaustu”. Profesor Finkelstein opisuje tam działalność kilku żydowskich organizacji, które występując w roli rzeczników ofiar holokaustu, wyciągają od różnych państw pieniądze pod pretekstem odszkodowań lub rekompensat. Pikanterii dodaje fakt, że te pieniądze albo w znikomym stopniu, albo nawet wcale nie trafiają do rzeczywiście poszkodowanych, tylko są obracane na całkiem inne cele.

Co najmniej dwie z takich organizacji: Światowy Kongres Żydów i Amerykański Komitet Żydowski kierują swoje roszczenia również przeciwko Polsce, a w roku 1996 ówczesny sekretarz Światowego Kongresu Żydów,

pan Izrael Singer, oświadczył nawet, że jeśli Polska nie ugnie się przed tymi żądaniami, to „będzie upokarzana na arenie międzynarodowej”. 16 marca tego roku odwiedził Polskę pan Dawid Harris, dyrektor Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego i od przedstawicieli polskiego rządu uzyskał obietnicę, że sprawa ta będzie załatwiona „jeszcze w tym roku”. Właśnie ta okoliczność była powodem wygłoszenia na antenie felietonu na ten temat, bo wysokość kierowanych pod adresem Polski roszczeń sięga co najmniej 60, a być może nawet 65 miliardów dolarów. Odpowiada to mniej więcej całorocznemu budżetowi naszego państwa, więc wyciągnięcie takiej sumy od Polski byłoby poważnym ciosem ekonomicznym.

Nie to jednak jest najważniejsze. Czytelnicy moich publikacji i słuchacze moich felietonów doskonale wiedzą, że jestem zwolennikiem poszanowania własności prywatnej i zawsze opowiadałem się za zwrotem własności zagrabionej prawowitym właścicielom. W tym jednak wypadku problem polega na tym, iż roszczenia wysuwane przez Światowy Kongres Żydów i Amerykański Komitet Żydowski wobec Polski są pozbawione podstaw prawnych. W poprzednim felietonie wyjaśniałem, dlaczego, i powtórzę to jeszcze raz: bo dekret z 1946 roku — prawo spadkowe — przewidywał, że jeśli w stosunku do jakiegoś mienia nie zostało do dnia 1 stycznia 1949 roku wydane postanowienie o stwierdzeniu nabycia spadku, to w świetle prawa polskiego taki spadek uważany jest za „utracony” i jako taki przypada Skarbowi Państwa. W przypadkach, gdzie spadkobiercy potrafią udowodnić swoje uprawnienia — mienie jest im zwracane. Najlepszym przykładem jest dom w Wadowicach, w którym mieszkał Karol Wojtyła — Jan Paweł II. Został on zwrócony spadkobiercy i odkupiony od niego przez pana Krauzego z przeznaczeniem na muzeum Jana Pawła II. Zwracam uwagę, że niepotrzebne tu były żadne specjalne regulacje prawne czy decyzje rządu. Tymczasem roszczenia wysuwane przez wspomniane organizacje są pozbawione podstaw prawnych i dlatego ujawnienie przeze mnie ich zabiegów o wyciągnięcie z Polski 60 czy 65 miliardów dolarów spowodowało takie poruszenie, i taką wściekłość.

Z jednej strony jest to zrozumiałe, a z drugiej — jest znakomitym potwierdzeniem moich uwag sprzed tygodnia o „piątej kolumnie”. Dzisiaj każdy może

się przekonać, że ona istnieje, że jest rozbudowana i wpływowa, i że działa wbrew polskiemu interesowi państwowemu. Kiedy nożyce się odzywają, to oczywiście brzęczą, ale też ujawniają miejsce swego położenia.

Pewnym zaskoczeniem dla mnie było to, że tym razem rolę głównego oskarżyciela przyjęła na siebie Rada Etyki Mediów. Jednakże po bliższej analizie przestałem się dziwić. Podejrzewam bowiem, iż doszło do tego w sposób następujący: niedawno krajowa Rada Radiofonii i Telewizji ukarała telewizję Polsat półmilionową karą za wypowiedź pani Kazimieri Szczuki. Cały Salon protestował przeciwko tej decyzji, uznając ją za niebezpieczną dla wolności słowa. Muszę powiedzieć, że ja również uważam tę decyzję za niedobłą, bo — po pierwsze — od nakładania kar powinny być wyłącznie sądy, a po drugie — uważam, że Krajowa Rada nie jest w ogóle potrzebna.

Tak się jednak składa, że stałym współpracownikiem telewizji Polsat i jednocześnie członkiem Rady Etyki Mediów jest pan redaktor Maciej Hłowiecki. Być może właśnie ta okoliczność sprawiła, że mój felieton w Radiu Maryja został wykorzystany jako pretekst, by postawić Krajową Radę pod ścianą i zmusić do ukarania podobną karą również Radio Maryja. W tym celu jednak trzeba było podnieść klangor oskarżając mnie o „antysemityzm” i to zadanie wzięła na siebie Rada Etyki Mediów.

Utwierdza mnie w tych podejrzaniach nie tylko treść oskarżycielskich publikacji w niezawodnej „Gazecie Wyborczej”, ale również — formalne oskarżenie, jakie złożyło do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Stowarzyszenie „Otwarta Rzeczpospolita”. Próbuje ono pełnić w Polsce rolę takiego ormowca politycznej poprawności, jak na razie — bez większego powodzenia, ale najwyraźniej — nie traci nadziei.

Ja jednak też nie tracę nadziei, że polska opinia publiczna nie do siebie zamydlić oczu tymi gołosłownymi oskarżeniami o „antysemityzm” i nie dopuści zarówno do ograbienia Polski przez amatorów łatwych pieniędzy, jak również — do stłumienia wolności słowa. W tej chwili głównym jego obrońcą staje się Radio Maryja i właśnie dlatego wzbudza taką wściekłość wszystkich wrogów Polski, i wszystkich wrogów wolności. Kiedy o tych wszystkich sprawach od lat pisałem na łamach tygodnika „Najwyższy Czas!”